

ANDRZEJ KWIATEK

*Listy Apaczka***Wariat na peronie (1981 r.)**

Dzisiaj znów wracam do domu trójmiejską kolejką, myślę o marchewce, cebuli i burakach, które muszę jeszcze kupić w warzywniaku. Ludzi jakoś niewiele, na niebie gęste chmury, zamknięte i otwierane drzwi kolejki syczą jak gorące węgle rzucane na wodę. Siedzę spokojnie, bo nikomu nie trzeba ustępować miejsca, zresztą siedzenie w moim wieku to chyba nic zdroźnego. Patrzę tępo na mijane domki, ogródki, myślę o bucie, który mnie uwiera oraz „wsluchuję się” w lekki ból dużego palca. Wsluchuję się i myślę na przemian. Gdy słucham, słyszę ton niski, cichy i długotrwały, przechodzący stopniowo w krótkie, pulsujące piski. Gdy myślę, myślę, że to wina palca albo wina buta. Zły jestem na siebie. Czyżbym kupił za małe buty? Nagle przychodzi mi do głowy, że to wina palca i wina buta zarazem. Prostuję się. Wciągam powietrze głęboko. Czuję się troszkę pewniej. Trzy możliwości – myślę – but, palec, palec i but.

Ludzie siedzący wokół też wlepili oczy w okna. Milczą. Wyglądają poważnie. Oni na pewno nie myślą o byle czym. Czuję na sobie wzrok starszej pani, patrzę spode łba na kościste dłonie w jedwabnych rękawiczkach, ale nie mam odwagi spojrzeć jej w oczy. Odwracając głowę ku oknu, poruszam bezwiednie nogą i słucham znowu bólu dużego palca. A to ci dopiero – myślę – jest możliwość czwarta: ani wina palca, ani wina buta!

Czuję się znacznie pewniej. Spoglądam odważnie na starszą panią. Nie mniej odważnie – na kołnierzyk zaciśnięty wokół szyi brzuchatego pana siedzącego naprzeciwko.

Ani wina palca, ani wina buta? Nie, nie, nonsens, głupia możliwość, idiotyczny pomysł, żeby świat cały obarczać winą. Świat jest przecież piękny – chmury takie białe i drzewa zielone... Kierownik i magazynier chyba mają rację – rzecz w tym, aby nie być frajerem i palantem.

Oni są ważni, głośno krzyczą, palą podczas pracy papierosy, czasami idą gdzieś po kryjomu, biorąc ze sobą Henia albo panią Jadzię, później wracają hałaśliwi i weseli. Jeszcze nigdy mnie nie wzięli. Niby proszą, nalegają – chodź, Kaziu, mówią żartobliwie, lecz ja dobrze wiem, że żartują. Wiedzą, że ich namowy wprowadzają mnie w zakłopotanie, i gdy odchodzą, śmieją się głośno. Oni są dobrzy i mądrzy. Udują tylko lekkoduchów i złośliwców.

Wchodzę do biura dziś rano i czuję na sobie surowy wzrok kierownika. Pan Heniek i pani Jadzia też poważni, milczący.

- No, Kaziu – mówi kierownik – ładnie musiałeś narozrabiać.

„Co się stało” myślę. Szukam odpowiedzi w oczach pana Henia, lecz ten odwraca się gwałtownie.

Pani Jadzia zwiesza głowę i wysuwa szufladę z biurka. Jej długie białe włosy, prawie czarne tuż przy skórze spadają szerokim, jaśniejszym niż słońce wodospadem na dno szuflady. „Płacze?” – myślę sobie.

- Ale ja dopiero... dlaczego? – pytam i czuję, że nogi uginają się pod mną. - Bo deszcz leje już od godziny – mówi kierownik i parska śmiechem. Tamci też wybuchają niepohamowanym

rechotem. Kierownik nie przestając się śmiać klepie mnie poufale po plecach. - Oj, Kaziu, Kaziu – mówi.

- Nie słuchaj, Kaziu – przyjaźnie szcziocze pani Jadzia – to on narozrabiał, pewnie się z żoną pokłócił z samego rana.

Lubię panią Jadzię, nawet podobają mi się jej ciemnozielone powieki i długie, też ciemnozielone, paznokcie.

Następna stacja. Wyjątkowo dużo ludzi na peronie. Skąd się wzięli o tej porze? Czemu nie wsiadają? Strajk znowu jaki szykują, czy co? Brzuchaty pan przywarł czołem do szyby i wpatruje się w tłum. Cierpi chyba, bo ciągle wpycha palec za kołnierzyk i kręci szyją. Żal mi go. Dlaczego nie rozpiną kołnierzyka? Nasze kolana zeknęły się. Czuję sympatię do grubasa, choć brakuje mu barwy. A propos barwy – nasz kierownik pozuje na rasiście. Zawsze szuka winnych gdzieś na antypodach. Wszystko przez tych żółtków, mówi, albo czamuchów, ale ja wiem, że się wygłupia, bo fascynują go zielonoskórzy marsjanie i latające spodki. Z wielkim przejęciem donosi o nowych obiektach na polach amerykańskich farmerów i wcale mu nie przeszkadzają łysc głowy marsjan z wystającymi różkami.

Tak, grubemu brakuje barwy. Wargi ma wydęte, drobnutkie kędziorki nad uszami. Błada, pokryta piegami skóra nawet go nie szpeci, wygląda tylko jak źle dobrany strój. Rozczuła mnie to trochę i współczuję mu. W kolejkę widuję codziennie podobnych „Murzynów”, „Chiriczyków”, „Eskimosów”, „Arabów”, „Hindusów” i zawsze im współczuję, szczególnie wtedy, gdy bywają przesadnie dumni ze swojego bladego, źle dopasowanego „garnituru”.

Ale, ale – czy nie za długo stoimy? Zerkam z niepokojem na peronowy zegar i zaczynam znów myśleć o burakach. Marchewki jeszcze trochę w domu jest, cebula też się znajdzie. „Nie zapomnij o burakach” – dudni mi w głowie. Mogłem je kupić podczas przerwy śniadaniowej. Za magazynem, dwie ulice dalej, już nie raz kupowałem warzywa. Musiałbym, co prawda, nosić ze sobą buraki cały dzień, ale za to teraz nie martwiłbym się. Lenistwo i tyle. Zły jestem na siebie, jeszcze bardziej na cały świat. Czuję, że zaczyna wzbierać we mnie jakaś dziwna energia, nie wiem czy to złość, czy strach. A może jedno i drugie? Próbuję przekazać jej nadmiar kołom kolejki, żeby wreszcie drgnęły i poniosły mnie przed zmierzchem pod sklep z warzywami. Daremny wysiłek. Stoimy.

Wścikli i bezradni. Bezradni i wścikli. W dole błyszczą i szumi asfaltowa ulica. Mkną samochody. Liczę. Czterdzieści osiem na minutę, w tym jeden autobus miejskiej komunikacji i dwa ciężarowe.

Pani Jadzia i kierownik podwozili mnie nie raz do miasta swoimi autami. Przyjemnie było patrzeć na kolejkę zostającą w tyle. Czuję się wtedy ważny, ale i skrępowany trochę, bo wydawało mi się, że ludzie stojący na przystankach patrzą na mnie z jakąś dziwną mieszaniną podziwu, uznania i niechęci w oczach. Tyle się Kaziu nadzwigasz w magazynie przez cały dzień, przydałaby ci się jakaś gabłota,



mówi czasem pani Jadzia. Sam widzisz, jaka to wygoda. Facet z ciebie niegłupi, a taki niczaradny.

Stoimy już chyba z piętnaście minut. Co się, cholera, stało? Ludzie wstają i zaczynają wychodzić z kolejki. Klną pod nosem, niektórzy otwierają okna. Nieliczni wracają, siadają, spoglądają na zegarki. Brzuchaty pan rozpiął kołnierzyk i wpatruje się we mnie, jakby chciał coś powiedzieć. Podnosi się, odsuwa okno i wychyla głowę. Kręci nią na prawo i lewo. Śmiesznie wygląda, zupełnie jak ten chłop w dybach, którego widziałem w podręczniku szkolnym. Ale wcale mi nie do śmiechu, gdyż palec dokucza coraz bardziej. Zaczynam się wściekać.

Wszystko przez ten palec. Odcinam go w myśl jednym uderzeniem siekiery... O czym ja myślę? Gdyby nie te cholerne buraki, nie denerwowałbym się aż tak. Dobrze, że pani Jadzia nie widzi, bardzo by się zdziwiła. Wszyscy by się zdziwili. W dniu imienin kupili mi kwiaty i kierownik powiedział:

- Wiesz, Kaziu, za co cię lubimy i szanujemy? Za to, że się nie denerwujesz, że jesteś skromny, pracowity i znasz swoje miejsce. Mamy miłą niespodziankę dla ciebie – pod koniec roku lub na początku przyszłego dostaniemy podnośnik widłowy. Cieszysz się?

- Już nie będziesz musiał tyle dźwigać – dodała pani Jadzia i pocałowała mnie w policzek.

- Co, zatkało cię – powiedział kierownik – myślałeś, że nie pamiętamy o tobie?

Byłem chyba wzruszony, bo nie mogłem wydusić słowa. Kierownik podwoził mnie wtedy do miasta. Całą drogę opowiadał różne rzeczy, a ja zapominałem języka w gębie. Podziwiałem go, że dużo wie, że siedzi za kółkiem i potrafi jednocześnie rozmawiać o tylu sprawach. Tak, Kaziu – mówił – potrzebujemy zdrowych, sprawdzonych zasad. Natury nie da się oszukać. Mówi się tyle o zgięciach, przegięciach, zakrętach, skrętach. A skąd się to bierze? Z oszukiwania natury, Kaziu! Samego Pana Boga chcemy oszukać, bo przecież On stworzył naturę. Kim my jesteśmy – bogami, czy co? Kiedyś myśliwym był człowiek zdrowy, silny i zwinny, a dziś byle babina, która ledwo się na nogach trzyma, więcej mięsa do domu przyniesie! Ekonomia, bracie, i wiara, to dwa filary. Jeden – postępu, drugi – moralności. Właśnie w tym kierunku pójdziemy, jak cały cywilizowany świat. Człowiek musi coś wreszcie

mieć za swoją harowę. Wspomnisz, Kaziu, moje słowa: cały ten utopijny gwałt zadany naturze nie przejdzie. Da Bóg, że nie będziemy musieli długo czekać, trzeba tylko mocniej krzyknąć. Do czego to podobne, żeby byle jaki mleczarz-śmierciarz zarabiał tyle, co człowiek na poziomie? Kierownik, jak ja, jeździ na Zachodzie mercedesem, tu łaskę wielką zrobili, że talon dali na byle pudło!

Kierownik oderwał ręce od kierownicy, rozłożył je szeroko, jakby chciał pokazać wielkość swojego „pudła”. Miał nieszczęśliwą minę i żal mi go było. Pomyślałem wtedy, że należy mu się ten mercedes, powiedziałem nawet, że być może i na mercedesy będą talony, ale palnąłem chyba głupstwo, bo roześmiał się:

- Oj, Kaziu, ty się nigdy nie zmienisz. Znów pomyślałem o burakach i natychmiast odezwał się palec. Grubas się wierci, brwi zmarszczył, jakby chciał mnie rąbnąć. Ja też bym mu chętnie przyłożył. Już sobie wyobrażam, jak wrzeszczy, a ja jeszcze głośniej, żeby zagłuszyć jego wrzask. Ta stara pewnie też by się przyłączyła... Co się ze mną dzieje? Dałbym sobie głowę uciąć, że stara daje mi znaki. Jej wściekłe oczka zdają się mówić: „Zaczynaj, chłopcze. Pokaż, co potrafisz! Wyjźdź na peron i krzyknij!”

Nie ma głupich – myślę – wariata chcecie ze mnie zrobić? Spoglądam na peron i nie wierzę własnym oczom – wariat grzebie patykami w koszu na śmieci! Jest jednym z tych, co mają za krótkie spodnie. Kierownik mówił, że wariaci dzielą się na tych, co mają spodnie za krótkie i takich, co chodzą w gaciach za długich. Ci pierwsi są niegroźni, mają poczciwe gęby i do każdego się uśmiechają, zaś ci w spodniach za długich są bardzo niebezpieczni. Nigdy nie wiadomo, co taki może człowiekowi zrobić. Tego wariata akurat znam, widywałem go wiele razy w kolejce lub na peronach. Inni ludzie z przedziału też spoglądają na niego. Przenoszą wzrok na sąsiadów, uśmiechają się porozumiewawczo. Wariat podchodzi do krawędzi peronu, staje na palcach i podnosi kark, jakby wypatrywał kogoś w odali. Zaczyna nagle wrzeszczeć, choć spodnie ma za krótkie:

- Złodziejce! Komuchy! Ukradli pociąg!

Pluje pod nogi, ściąga wełniany берет, rzuca na ziemię i skacze po nim. Wymachując kijem, wygląda jak tańczący zbójnik z ciupagą.

- Bomba w łeb! Oddajcie pociąg! Śmieję się pod nosem. Czuję, że roz-

luźniają się moje mięśnie. Spoglądam na brzuchacza i widzę, że ma również rozbawione oczy. Starsza pani kręci głową i też się uśmiecha. Palec jakby przestał boleć i tylko leciutkim swędzeniem przypomina o sobie. Gruby szturcha mnie poufale.

- Widziałeś pan? Temu to dobrze – krzyczy sobie, co zechce i wymachuje kijaszkiem, kiedy zechce.

Przeraża mnie myśl, że niewiele brakowało a bym się przyłączył do wariata. Brzuchacz pewnie też by się przyłączył. I starsza pani też. Gdyby jednak aż tylu wariatów pojawiło się na peronie, moglibyśmy zrobić jakiegoś głupstwo. Wreszcie kolejka drgnęła. Syczą drzwi. Kilku wyrostków podrywa się z peronowych ławek i wskakuje do wagonu. Suniemy wolno. Uff, czuję się jak żniwiarz lub marynarz, który oddycha z ulgą, gdy groźna chmura przeszła bokiem.

Słodki jest stukot kół i usypiający. Mrużę oczy, szyja zaczyna wiotzczeć. Wariat sam krzyczy – myślę – bo jest wariatem, czy jest wariatem, bo krzyczy sam? A gdy wielu krzyczy? O, to już chyba, jak powiadają, słuszny gniew albo mądrość zbiorowa, czy coś w tym rodzaju. Kierownik może by mnie pochwalił. Najpierw byłby zaskoczony, ale później pochwaliby mnie. Pewnie by mnie poklepał. Już słyszę: „O to właśnie chodzi, Kaziu, razem dokonamy rzeczy wielkich, grunt to solidarność, ramię w ramię, stworzymy nowy ład”. I czuję nagle dziwną niechęć do kierownika, choć bardzo bym chciał stać się kawalkiem zbiorowej mądrości. Jego lekko wytułpiaste oczy sprawiają, że tak naprawdę wygląda jak żaba. Słonina brzucha przelewa się przez pasek, całe ciało paruje i pachnie, jakby się przypalał na patelni. A pani Jadzia? Pocałowała mnie przecież serdecznie... Nie, nie, była miękka i lepka jak galareta. Miałem wrażenie, że pochylałam się nad beczką kiszzonej kapusty.

Palec leciutko daje znać o sobie. Brzuchacza już nie ma, miejsce starej też puste. Zabieram się do wyjścia. Staję przy drzwiach i gdy się rozsuwają, wyskakuję pierwszy. Szybko przebiegam nogami, zbiegam po schodach pod wiadukt, łykając z przyjemnością zimne, prawie lodowate powietrze. Za chwilę się ściemni. Światła neonówek złocą liście na ciemnych kopolach klonów. Uf, na szczęście warzywniak jeszcze jest otwarty. Zdążę kupić te cholerne buraki. Myślę, że kierownik i magazynier mają rację – cała rzecz w tym, aby nie być frajerem i palantem.